

Autor: Robert Sheckley

Tytuł: Prototyp

(Early Model)

# Z „NF” 9/91

Lądowanie wypadło prawie katastrofalnie. Bentley zdawał sobie sprawę, że to wielki ciężar na jego plecach miał wpływ na koordynację ruchów, ale do ostatniego momentu, kiedy nacisnął nieodpowiedni guzik, nie przypuszczał, że będzie aż tak źle. Statek zaczął spadać jak kamień. Bentley wyrównał dosłownie w ostatniej chwili, wypalając czarną dziurę w miejscu, nad którym lądował. W chwili zetknięcia z ziemią statkiem zakołysało jakby wstrząsnęły nim dreszcze i dopiero po jakimś czasie zatrzymał się.

Bentley dokonał pierwszego lądowania na Tels IV.

Gdy to się już stało, natychmiast nalał sobie dobrą

porcję szkockiej w celach zdrowotnych.

Potem włączył radio. Słuchawkę miał w uchu, co powodowało ciągłe swędzenie, a mikrofon był chirurgicznie zamocowany w jego krtani. Przenośny kosmiczny odbiornik nastawiał się automatycznie. Na szczęście, bo Bentley nie miał zielonego pojęcia, jak go precyzyjnie dostroić przy tak ogromnej odległości.

- Wszystko w porządku - powiedział do profesora Sliggerta przez radio. - To planeta ziemiopodobna, jak wykazywały wcześniejsze badania. Statek jest nie uszkodzony. A ja szczęśliwie donoszę, że nie złamałem karku w czasie lądowania.

- Oczywiście, że nie złamałeś - odparł Sliggert cichym, pozbawionym emocji głosem. - A jak Protec? Co z nim? Czy już się do niego przyzwyczaiłeś?

- Nie - powiedział Bentley - nadal czuję, jakby mi na plecach siedziała wielka małpa.

- Cóż, niedługo przestanie ci przeszkadzać - zapewnił go Sliggert. - Instytut przekazuje swoje gratulacje, a rząd chyba szykuje dla ciebie jakiś medal. Pamiętaj, że najważniejszą obecnie sprawą jest zaprzyjaźnienie się z tubylcami i, jeśli to możliwe, zawarcie jakiegokolwiek porozumienia handlowego. Jakiegokolwiek. To ma być precedens. Ta planeta jest nam potrzebna, Bentley.

- Wiem.

- Powodzenia. Informuj w miarę możliwości.

- Dobrze - obiecał Bentley i wyłączył się.

Spróbował wstać, ale za pierwszym razem nie udało mu się.

Na szczęście, dzięki uchwytom nad deską kontrolną, jakoś przeszedł do pionu. Przy tej okazji zdał sobie sprawę z ceny, jaką płaci się za sflaczałe mięśnie. Żałował, że w czasie długiej podróży nie przykładał się uczciwiej do ćwiczeń.

Bentley był wysokim, postawnym człowiekiem, dobrze i solidnie zbudowanym. Na Ziemi ważył około stu kilogramów i poruszał się z gracją atlety. Ale od chwili startu miał na sobie dodatkowy ciężar. Prawie czterdzieści kilogramów na stałe przymocowane do pleców. W tych warunkach jego ruchy przypominały starego słonia w zbyt ciasnych pantoflach.

Teraz poruszył ramionami pod szerokimi plastikowymi szelkami, skrzywił się i ruszył do wyjścia. W oddali, jakieś pół mili od statku, widział wieś - niewielkie, brązowe plamy na horyzoncie. Na równinie rozróżniał jakieś poruszające się kropki. Najwidoczniej wieśniacy zdecydowali się sprawdzić, co za dziwny obiekt, ziejący ogniem i wydający tajemnicze dźwięki, spadł z nieba.

- Niezłe przedstawienie - powiedział Bentley do siebie.

Gdyby obcy nie wykazali żadnego zainteresowania, kontakt

byłby utrudniony. Instytut Eksploracji Międzygwiazdnych rozpatrywał również taką sytuację, ale nie znaleziono żadnego rozwiązania. Dlatego też skreślono ją z listy możliwości.

Wieśniacy byli coraz bliżej. Bentley uznał, że czas, by się przygotować na ich spotkanie. Otworzył szafkę i wyjął automatycznego tłumacza, którego z pewnym trudem przymocował na piersi. Do jednego z ud przytroczył kanister z wodą, na drugim umieścił kontenerek ze skoncentrowaną żywnością. Do brzucha przymocował potrzebne narzędzia. Radio znalazło swe miejsce na jednej z łudek, zaś apteczka pierwszej pomocy na drugiej.

Tak wyekwipowany Bentley miał na sobie ponad siedemdziesiąt kilogramów sprzętu, z czego każdy gram uznano za niezbędny do przeżycia w kosmosie.

Fakt, że zamiast chodzić praktycznie, ślaniał się na nogach, uznano za nieistotny.

W tym czasie tubylcy zdążyli podejść do statku. Zebrali się wokół wymieniając z lekceważeniem jakieś uwagi. Były to istoty dwunożne, o krótkich, grubych ogonach i rysach przypominających zjawy ze straszliwych koszmarów sennych. Ich ciała były koloru jaskrawopomarańczowego.

Bentley zdążył również zauważyć, że są uzbrojeni.

Dostrzegł noże, włócznie, lance, kamienne młoty i siekiery.

Na widok broni uśmiech zadowolenia przemknął mu po twarzy. Usprawiedliwiała ona czterdzieści dodatkowych kilogramów, które nosił na swych barkach od chwili opuszczenia Ziemi.

Nieważny był zresztą rodzaj uzbrojenia tubylców, mogli dysponować nawet bombą atomową - i tak nie byli w stanie mu zagrozić.

To właśnie uświadomił mu jeszcze na Ziemi profesor Sliggert, szef Instytutu i wynalazca Proteca.

Bentley otworzył wąż. Telianom wyrwały się okrzyki zdumienia. Automatyczny tłumacz po paru sekundach niepewności przełożył je:

- Och! Ach! Jakie to dziwne! Niewiarygodne! Śmieszne!

Nadzwyczaj niewłaściwe!

Bentley zszedł po drabince, usiłując ostrożnie balansować swymi dodatkowymi kilogramami. Tubylcy otoczyli go półkolem, broń trzymali w pogotowiu.

Zbliżył się do nich. Odsunęli się. Z miłym uśmiechem zaczął:

- Przybyłem jako przyjaciel.

Aparat wyszczekał kilka chrapliwych dźwięków w języku

Telian.

Chyba mu nie uwierzyli. Włócznie nadal były gotowe do ataku, a jeden z Telian, najpotężniejszy i noszący wielobarwne przybranie na głowie, trzymał topór przygotowany do walki.

Bentley poczuł, że oblatuje go strach. Nie byli w stanie go zranić. To jasne. Póki miał na sobie Proteca, nic nie mogli mu zrobić. Nic! Profesor Sliggert był tego więcej niż pewien.

Przed startem profesor Sliggert założył mu Proteca na plecy, zamocował rzemienie i odszedł parę kroków, by podziwiać swe dzieło:

- Doskonale - oznajmił z dumą.

Bentley ugiął się pod ciężarem.

- Troszkę przyciężkie.

- No cóż - odrzekł Sliggert - to dopiero prototyp.

Zrobiłem wszystko, by zmniejszyć jego wagę, wykorzystałem tranzystory, lekkie stopy, drukowane obwody, miniaturowe komponenty o pełnej mocy. Niestety, wszystkie prototypy są z reguły duże.

- Chyba mógł pan to nieco usprawnić - zaprotestował Bentley, próbując odwrócić się.

- Usprawnienia zostawmy na później. Teraz najważniejsza jest maksymalna wielofunkcyjność, a dopiero potem - wygoda. Tak zawsze było i tak będzie. Weźmy na przykład maszynę do pisania. Obecnie jest to jedynie klawiatura płaska jak deska. A prototyp... Albo taki aparat słuchowy, który tracił zbędny ciężar dopiero w kolejnych fazach rozwoju. No i automatyczny tłumacz. Początkowo był to masywny, skomplikowany kalkulator elektroniczny ważący kilka ton.

- W porządku - przerwał mu Bentley. - Jeśli nic lepszego nie może pan wymyślić, to w porządku. A jak można się tego pozbyć?

Profesor Sliggert uśmiechnął się.

Bentley sięgnął ręką do tyłu, ale nie potrafił znaleźć

kłamy. Pociągnął za szelki, ale nie udało mu się ich rozpiąć. Poczuł, jakby się znalazł w nowym i cholernie skutecznym kaftanie bezpieczeństwa.

- Profesorze, jak się z tego wydostać?

- Nie zamierzam ci powiedzieć.

- Co?

- Protec jest niewygodny, prawda? - zapytał Sliggert. -

Wolałbyś go nie nosić?

- Ma pan cholerną rację.

- Oczywiście. Czy wiesz, że w czasie wojny, na polu bitwy

żołnierze porzucają ekwipunek, ponieważ jest ciężki lub niewygodny? Ale my nie możemy pozwolić sobie na ryzyko w twoim przypadku. Wyruszasz na obcą planetę, Bentley. Będziesz wystawiony na zupełnie nieznane niebezpieczeństwa.

Przez cały czas musisz być chroniony.

- Zgadzam się - odrzekł Bentley - ale mam dosyć rozumu,

by wiedzieć, kiedy to nałożyć.

- Czyżby? Wybraliśmy cię dla takich zalet jak zaradność, wytrzymałość, siła fizyczna - no i oczywiście pewien procent inteligencji, ale...

- Dzięki.

- Ale te zalety nie zabezpieczają cię w pełni.

Przypuśćmy, że uznasz tubylców za przyjaznych i zdecydujesz się zrzucić ten ciężki i niewygodny sprzęt... A jeśli się pomylisz? Łatwo popełnić błąd na Ziemi. Pomyśl, o ile łatwiej można się pomylić na obcej planecie.

- Potrafię troszczyć się o siebie - odparł Bentley.

Sliggert ponuro przytaknął.

- Tak właśnie mówił Atwood, udając się na Durabellę II i

słuch o nim zaginął. Nie wrócili też Blake, Smythe ani Korishell. Czy potrafisz obronić się przed ciosem w plecy? Czy masz oczy z tyłu głowy? Nie, nie masz - ale Protec ma!

- Proszę zrozumieć - odparował Bentley - ja naprawdę jestem człowiekiem odpowiedzialnym. Będę nosił Proteca udając się na powierzchnię obcej planety. Ale teraz niech mi pan powie, jak to zdjąć.

- Zdaje się, że czegoś nie rozumiesz, Bentley. Gdyby chodziło jedynie o twoje życie, pozwolilibyśmy ci na ryzyko. Ale tu idzie o sprzęt i statek wartości kilku miliardów dolarów. I o praktyczne wypróbowanie Proteca. Jedynym sposobem upewnienia się co do jego przydatności jest noszenie go przez ciebie na okrągło. A jedynym sposobem zapewnienia, byś go nosił, jest niepowiedzenie ci, jak go zdjąć. Nam zależy na wynikach. Pozostaniesz żywy, czy tego chcesz, czy nie.

Bentley przemyślał sprawę i zgodził się, acz niechętnie.

- Sądzę, że mogłoby mnie podkusić, by to zdjąć. Gdyby tubylcy okazali się autentycznie przyjaźni.

- Ta pokusa zostanie ci zaoszczędzona. Czy rozumiesz już, jak to działa?

- Oczywiście - powiedział Bentley - ale czy faktycznie robi wszystko, o czym pan wspomniał?

- Test laboratoryjny przeszedł doskonale.

- Nie chciałbym, żeby zawiódł jakiś drobiazg. Przypuśćmy, że nawali faza lub puści lut.

- To właśnie jest jedną z przyczyn ciężaru tego urządzenia - wyjaśnił Sliggert cierpliwie. - Potrójne zabezpieczenie. Nie możemy sobie pozwolić na żadną usterkę techniczną.

- A zasilanie?

- Przy pełnym doładowaniu wystarczy na sto lat lub

dłużej. Protec jest doskonały, Bentley! Po przeprowadzonym przez ciebie teście terenowym nie mam wątpliwości, że stanie się standardowym wyposażeniem wszystkich badaczy w kosmosie.

Profesor Sliggert pozwolił sobie na mały uśmiech dumy.

- W porządku - zgodził się Bentley, poruszając ramionami

uwięzionymi w szerokich plastikowych szelkach - przyzwyczaję się.

Ale nie przyzwyczał się. Człowiek nie przyzwyczaja się tak łatwo do czterdziestokilogramowej mały na swych plecach.

Telianie nie bardzo wiedzieli, jak go rozgryźć. Dyskutowali przez kilka minut, podczas gdy z twarzy

Bentleya nie schodził wymuszony uśmiech. Potem jeden z nich wystąpił do przodu. Był wyższy od pozostałych i nosił charakterystyczne przybranie głowy ze szkła, kości i kawałków jaskrawo pomalowanego drewna.

- Przyjaciele - powiedział - jest tu Zło, które ja, Rinek, wyczuwam.

Inny z Telian, z głową przystrojoną podobnie jak tamten wystąpił i rzekł:

- Niedobrze, gdy szaman mówi o takich rzeczach.

- Oczywiście, że nie - przyznał Rinek. - Niedobrze jest

mówić o Złym w jego obecności, bo rośnie wtedy w siłę. Ale zadaniem szamana jest wykrycie i unikanie zła. I szaman musi wykonać to, co do niego należy, niezależnie od stopnia ryzyka.

Kilku innych mężczyzn, z podobnie przybranymi głowami, wystąpiło naprzód. Bentley uznał, że muszą to być odpowiednicy telińskich kapłanów, posiadający prawdopodobnie także władzę polityczną.

- Nie sądzę, żeby był Złym - powiedział młody, uśmiechnięty kapłan imieniem Huascl.

- Ależ oczywiście, że jest. Spójrz tylko na niego.

- Wygląd o niczym nie świadczy, o czym dobrze wiemy, od

czasu, gdy dobry duch Ahut M'Kandi ukazał się w postaci...

- Bez kazań, Huascl. Wszyscy znamy przypowieści Lellanda.

Chodzi jedynie o to, czy możemy pozwolić sobie na ryzyko?

Huascl zwrócił się do Bentleya.

- Czy jesteś Złym? - zapytał poważnie.

- Nie - odrzekł Bentley.

W pierwszej chwili zdziwił go głęboki niepokój Telian w

tej właśnie materii. Nawet nie zapytali, skąd przybył, w jaki sposób i po co. Ale właściwie nie było to takie dziwne. Gdyby jakiś obcy wylądował na Ziemi w jednym z okresów religijnej euforii, pierwsze pytanie też mogłoby brzmieć: czy jesteś istotą boską czy szatanem?

- Mówi, że nie jest diabłem?

- Skąd może wiedzieć?

- Jeśli on nie wie, to kto ma wiedzieć?

- Pewnego razu wielki duch G'Tal pokazał mędrcomi trzy

kdale i powiedział...

I tak to trwało w nieskończoność. Bentleyowi nogi zaczęły drżeć pod ciężarem Proteca. Automatyczny tłumacz nie był już w stanie wyjaśniać zawilosci dyskusji teologicznej, która rozgorzała wokół. Ocena Bentleya zdawała się zależeć od dwóch czy też trzech dyskutowanych punktów, o których żaden z kapłanów nie chciał mówić, bo mówienie na temat Złego samo w sobie było niebezpieczne.

Sprawy stały się bardziej skomplikowane, gdy doszło do schizmy na temat pojęcia przenikalności Złego. Młodzi stawali po jednej, starsi - po drugiej stronie. Frakcje oskarżały się wzajemnie o bezwstydną herezję, ale Bentley nie potrafił domyśleć się, kto w co wierzy, lub też czyja interpretacja pomaga mu.

Spór toczył się nadal, gdy słońce zaczęło opadać na pokrytą trawą dolinę. Wtedy całkiem niespodziewanie kapłani doszli do porozumienia, chociaż Bentley nie bardzo wiedział, co o tym zdecydowało.

Huascl wystąpił naprzód jako rzecznik młodych.

- Cudzoziemcze - oznajmił - zdecydowaliśmy się nie zabijać cię.

Bentley stłumił śmiech. Tak to już było z prymitywnymi ludźmi, ich wiara we własną moc była niezniszczalna.

- W każdym razie jeszcze nie teraz - dodał Huascl, spostrzegłszy zmarszczkę na czole Rinka i starszych kapłanów. - Będzie to zależało jedynie od ciebie. Wrócimy do wsi, by się oczyścić i wyprawić ucztę. Następnie odbędzie się twoje uroczyste przyjęcie do społeczności szamanów. Żadna istota zła nie może zostać szamanem. Jest to wyraźnie zabronione. Dzięki temu dowiemy się, jaka jest twoja prawdziwa natura.

- Jestem głęboko wdzięczny - powiedział Bentley.

- Ale gdy się okaże, że jesteś diabłem, będziemy zmuszeni zabić go. I jeśli będzie to konieczne, uczynimy to.

Zebrani Telianie z zadowoleniem przyjęli tę przemowę i od razu ruszyli w drogę do wioski. Teraz, gdy obecność Bentleya zaakceptowano, przynajmniej tymczasowo, tubylcy okazali się całkowicie przyjaźni. Rozprawiali z nim o zbiorach, suszach i okresach głodu.

Bentley włókł się pod ciężarem swego wyposażenia. Był zmęczony, ale wewnętrznie podekscytowany. To było mistrzowskie posunięcie. Jako wtajemniczony będzie miał nieograniczone możliwości zbierania danych antropologicznych, zainicjowania wymiany handlowej, utworzenia



drogi przyszłemu rozwojowi Tels IV.

Musi jedynie pomyślnie przejść inicjację, no i nie może dać się zabić, przypomniał sobie, uśmiechając się w duchu.

Bawiła go wiara kapłanów, że potrafią go zabić.

Wioska składała się z dwóch tuzinów chat, które ustawione

były tak, że tworzyły koło. Wokół każdej glinianej chaty, krytej słomianym dachem, położony był niewielki ogród warzywny, a czasem również znajdowała się tam nieduża zagroda dla teliańskiej odmiany bydła. Widać też było małe, pokryte zieloną sierścią zwierzątka, przemykające między chatami. Telianie traktowali je jak psy czy koty. Trawiasty teren pośrodku wioski był wspólny. Tu znajdowała się studnia i liczne miejsca kultu, poświęcone różnym bogom i diabłom. Na tym właśnie terenie, oświetlonym wielkim ogniskiem, kobiety przygotowywały ucztę.

Bentley przybył na nią w stanie niemal krańcowego wyczerpania, zgięty w pół pod ciężarem swego wyposażenia. Z ulgą, podobnie jak inni, opadł na ziemię i zaczęła się uroczystość.

Najpierw kobiety odtańczyły dla niego taniec powitalny. Był to piękny widok. Ich pomarańczowa skóra migotała w świetle ogniska, a ogony poruszały się z gracją. Następnie do Bentleya podszedł miejscowy dygnitarz imieniem Occip i skłonił się przed nim.

- Cudzoziemcze - powiedział - przybyłeś z odległego lądu i twoje zwyczaje nie są naszymi zwyczajami. Mimo to zostanemy braćmi. Weź udział z nami w uczcie, by przypieczętować naszą więź w imię wszystkich świętości.

Nisko kłaniając się podał mu miskę z jedzeniem.

Był to ważny moment, moment, który mógł zadecydować o

przyjaźni między odmiennymi rasami lub też o ich wiecznej wrogości. Ale Bentley nie mógł go wykorzystać. Taktownie, na ile potrafił, odmówił spożycia symbolicznego pożywienia.

- Ależ ono jest oczyszczone - rzekł Occip.

Bentley wyjaśnił, że z powodu plemiennego tabu, może

spożywać tylko własne pożywienie. Occip nie potrafił tego zrozumieć. Bentley próbowałmu tłumaczyć, nie dodając jedynie, że nawet gdyby chciał zaryzykować, na zjedzenie czegokolwiek nie pozwoliłby mu jego Protec.

Mimo to jego odmowa zaniepokoiła wieś. Słysząc było pośpieszną wymianę zdań między kapłanami. Rinek podszedł do Bentleya i usiadł obok niego.

- Powiedz mi - zapytał po chwili - co sądzisz o szatanie?

- Szatan to samo zło - odparł poważnie Bentley.

- Aha! - Rinek rozważał odpowiedź, a jego ogon nerwowo

uderzał o trawę. Małe zielone zwierzątko zaczęło bawić się nim. Rinek odepchnął je i powiedział:

- A więc nie lubisz szatana?

- Nie lubię.

- I nie pozwoliłbyś, by jakikolwiek Zły miał na ciebie

wpływ?

- Oczywiście, że nie - odparował Bentley, tłumiąc ziewnięcie. Zaczynało go to nudzić.

- W takim razie nie będziesz wzdragał się przed przyjęciem bardzo świętej i czczonej przez nas włóczni, którą Kran K'leu przyniósł z Domu Małych Bogów. Sprowadza ona dobro na wszystkich.

- Z przyjemnością ją przyjmę - odrzekł Bentley, przytrzymując na siłę opadające ze zmęczenia powieki i mając nadzieję, że uroczystość ma się ku końcowi.

Rinek mamrocząc odszedł. Kobiety przestały tańczyć.

Kapłani zaczęli nucić głębokimi, przejmującymi głosami.

Promienie ogniska sięgały nieba.

Zbliżył się Huascl. Twarz miał wymalowaną w biało-czarne pasy. Niósł starą włócznię z czarnego drewna, o grocie ze szkła wulkanicznego i drzewcu bogato, choć prymitywnie rzeźbionym.

Trzymając włócznię w górze Huascl rzekł:

- Cudzoziemcze z Niebios, przyjmij tę świętą włócznię. Kran K'leu dał ją Trinowi, naszemu ojcu, nadając jej magiczną moc, dzięki której stała się schronieniem dobrych duchów. Zły nie może znieść obecności tej włóczni, przyjmij ją więc, a wraz z nią nasze błogosławieństwo.

Bentley podźwignął się z trudem. Rozumiał znaczenie takich uroczystości. Przyjęcie przez niego włóczni położy kres wątpliwościom co do jego oceny. Z należytą czcią pochylił głowę.

Huascl podszedł do niego, wyciągnął włócznię i...

... włączył się Protec.

Jego genialność polegała na prostocie działania. Gdy

tylko któryś z czujników odebrał sygnał zagrożenia, Protec włączał wokół Bentleya pole siłowe. Pole to chroniło go w sposób doskonały, gdyż było całkowicie i absolutnie nieprzenikalne. Ale miało to

też pewne ujemne strony.

Gdyby Bentley miał słabe serce, Protec mógłby go zabić swą elektroniczną prędkością działania, całkowicie nie do przewidzenia, poza tym fizycznie wyczerpującą. Przed chwilą bowiem Bentley stał jeszcze przed wielkim ogniskiem z wyciągniętą dłonią, by przyjąć świętą włócznię, gdy nagle w mgnieniu oka pogrążył się w ciemnościach.

Czuł się jak gwałtownie wrzucony do zatęchłego, ciemnego pomieszczenia, w którym ściany z gumy napierały na niego ze wszystkich stron. Przeklinał doskonałą sprawność maszyny. Włócznia nie stanowiła zagrożenia, była elementem ważnej ceremonii. Ale Protec nie znał się na niuansach i zinterpretował zdarzenie inaczej.

Teraz, w ciemnościach, Bentley szukał nerwowo kontrolki uwalniającej pole, które na domiar złego zakłóciło pracę jego błędnika. Każde ponowne włączenie pola pogarszało sytuację. Ostrożnie obmacał klatkę piersiową: gdzieś w tym rejonie powinien być odpowiedni guzik. Udało mu się w końcu zlokalizować go pod prawą pachą. Wyłączył pole.

Uczta zakończyła się nagle. Tubylcy zbili się w ciasną gromadę - tak czuli się bezpieczniej - z bronią gotową do ataku, z ogonami w pozycji poziomej.

Huascl, znajdujący się w zasięgu pola, został odrzucony na odległość dwudziestu stóp i teraz powoli zbierał się z ziemi.

Kapłani zaczęli nucić oczyszczające melodie, by uchronić się przed Złym. Bentley nie mógł mieć o to do nich pretensji.

Gdy pole Proteca zostaje uwolnione, wygląda jak nieprzezroczysta czarna kula o średnicy trzech metrów. Jeśli zostanie zaatakowane, oddaje uderzenie z siłą równą atakowi. Na powierzchni kuli pojawiają się wtedy białe linie, które wiją się, zlewają i znikają. Ruch obrotowy pola powoduje, że wydaje ono wysoki, przejmujący dźwięk.

Reasumując, nie był to widok ułatwiający zdobycie zaufania prymitywnych i zabobonnych istot.

- Przepraszam - powiedział Bentley starając się uśmiechnąć. Cóż innego można było powiedzieć w takiej sytuacji.

Huascl przykuśtykał z powrotem, ale teraz zachowywał dystans.

- Nie możesz przyjąć świętej włóczni - oznajmił.

- Cóż... to nie całkiem tak - odparł Bentley. - Chodzi o

to, że mam na sobie to zabezpieczające urządzenie, coś w rodzaju tarczy, rozumiesz? A ona nie lubi włóczni. Czy nie mógłbyś mi ofiarować na przykład świętej... tykwy.

- Nie bądź śmieszny - rzucił mu Huascl. - Czy ktoś słyszał o świętej tykwie?

- Nie, chyba nikt. Ale proszę cię, uwierz mi na słowo. Nie jestem szatanem. Naprawdę nie. Jeśli chodzi o tę włóczęgę, to widzisz, włóczęgi są u nas tabu...

Kapłani rozmawiali ze sobą zbyt szybko, by automatyczny tłumacz mógł za nimi nadążyć. Wyłapywał jedynie słowa takie jak „Zły”, „zniszczyć”, czy „oczyszczenie”. Bentley czarno widział swoją przyszłość.

Po naradzie Huascl podszedł do niego i rzekł:

- Niektórzy z obecnych sądzą, że powinno się ciebie zabić od razu, zanim sięgniesz na wioskę wielkie nieszczęście. Powiedziałem im jednak, że nie możesz być odpowiedzialny za różne tabu, które cię ograniczają. Będziemy się za ciebie modlić przez całą noc, a być może rano inicjacja stanie się możliwa.

Bentley podziękował. Zaprowadzono go do chaty i w pośpiechu opuszczono. Nad wioską wisiała złowieszczą cisza. Przez otwór wejściowy Bentley mógł rozróżnić małe grupki tubylców rozmawiających z przejęciem i spoglądających ukradkiem w jego stronę.

Był to marny początek współpracy dwóch ras.

Natychmiast połączył się z profesorem Sliggertem i zdał

mu relację z przebiegu wydarzeń.

- To przykre - odrzekł profesor - ale, jak wiesz, prymitywni ludzie są z reguły podstępni. Mogli chcieć cię zabić tą włóczęgą zamiast ofiarować ci ją.

- Jestem przekonany, że nie taka była ich intencja - zaprotestował Bentley - przecież czasami trzeba mieć zaufanie do innych.

- Ale nie wtedy, gdy twojej pieczy powierzono urządzenie miliardowej wartości.

- Nie będę w stanie nic zrobić - krzyknął Bentley. - Czy pan tego nie rozumie? Dla nich już jestem podejrzany. Nie byłem w stanie przyjąć ich świętej włóczęgi. Co oznacza, że prawdopodobnie siedzi we mnie Zły. A co będzie, jeśli jutro ponownie nie zostanę wtajemniczony? Przypuśćmy, że jakiś idiota zacznie dłubać sobie nożem w zębach, a Protec zechce mnie ratować? Pierwsze dobre wrażenie, które udało mi się wyrzucić, zostanie zepsute.

- Przychylność można odzyskać - powiedział profesor Sliggert sentencjonalnie - ale sprzętu o miliardowej wartości nie.

- Może zostać odzyskany przez kolejną ekspedycję. Zresztą, profesorze, dajmy temu pokój. Czy nie ma sposobu, by kontrolować Protec ręcznie?

- Nic z tych rzeczy - odrzekł Sliggert. - To podważyłoby sens jego istnienia. Jeśli miałbyś polegać na własnym refleksie, a nie na impulsach elektronicznych, to równie dobrze mógłbyś tego nie nosić.

- To proszę mi powiedzieć, jak to zdjąć.

- Jedna sprawa pozostaje nadal bezsporna - nie byłbyś

chroniony przez cały czas.

- Proszę zrozumieć - zaprotestował Bentley - wybrał mnie pan dla mej fachowości. To ja tu jestem. Wiem, z czym mam tu do czynienia. Proszę mi powiedzieć, jak się tego pozbyć.

- Nie. Protec musi przejść pełną próbę. Chcemy też, byś powrócił żywy.

- O właśnie! Tym istotom wydaje się, że mogą mnie zabić.

- Istoty prymitywne zwykle przeceniają własną siłę, siłę

swej broni i swej magii.

- Wiem, wiem, ale jest pan pewien, że nie ma sposobu przebicia się przez pole siłowe? Na przykład przy użyciu trucizny?

- Nic nie przeniknie przez pole - cierpliwie tłumaczył profesor - nawet promienie świetlne. Nawet promienie gamma. Masz na sobie fortecę nie do zdobycia, Bentley. Czemu nie możesz jej zaufać?

- Prototypy często wymagają wielu poprawek - zamruczał Bentley - ale niech będzie. Czy naprawdę nie powie mi pan, jak się z tego wydostać na wypadek, gdyby coś poszło nie tak?

- Chciałbym, byś przestał prosić mnie o to. Zostałeś wybrany, by Protec przeszedł pełną próbę terenową. I takie właśnie jest twoje zadanie.

Kiedy Bentley skończył rozmowę, na dworze było już ciemno. Wieśniacy powrócili do chat, ogniska dopalały się i słychać było jedynie odgłosy nocnych zwierząt.

Bentley poczuł się obco i zatęsknił za domem.

Był przeraźliwie zmęczony, ale zmusił się do zjedzenia

czegoś z koncentratów i do wypicia wody. Następnie zdjął radio i kontener, odłożył narzędzia. Spróbował nawet pozbyć się Protecę, ale bez rezultatu. W końcu ułożył się do snu.

Gdy tylko udało mu się przysnąć, Protec włączył się, o mało nie przetrącając mu przy tym karku. Bentley z trudem odnalazł kontrolkę, tym razem gdzieś na wysokości żołądka i wyłączył pole.

Chata wyglądała tak jak w chwili, gdy zasypiał. Nie zauważył żadnego źródła ataku.

Czyżby Protec tracił poczucie rzeczywistości? Czy też Telianie usiłowali zadźgać go przez okno?! - zastanawiał się.

Wtedy zauważył małego moga, który w przerażeniu czmychał z chaty, wzbijając swymi łapkami tuman kurzu.

Pewnie to maleństwo chciało się ogrzać, pomyślał Bentley. Ale oczywiście było czymś obcym, nieznanym. Potencjalne niebezpieczeństwo nie mogło ujść uwadze Proteca.

Ponownie zapadł w sen i natychmiast zaczął śnić, że został zamknięty w więzieniu z jaskrawoczerwonej gumy. Mógł do woli odpychać drzwi coraz dalej i dalej, ale nie udało mu się ich sforsować. Dawał za wygraną i był spychany z powrotem do środka celi. To powtarzało się w nieskończoność, aż nagle poczuł szarpnięcie w kręgosłupie i obudził się w polu Proteca.

Tym razem miał prawdziwy problem z odszukaniem kontrolki. W popłochu macał wszystko, aż stęchłe powietrze sprawiło, że zaczął się dusić. W tym momencie znalazł wyłącznik. Tuż pod policzkiem. Uwolnił pole i zaczął półprzytomnie szukać źródła kolejnego ataku.

Znalazł je. Z dachu chaty spadła gałązka i gdy miała wylądować na nim, Protec, rzecz jasna, nie zezwolił na to.

- Do licha - jęknął Bentley - miej trochę zdrowego rozsądku. - Ale był zbyt zmęczony, by naprawdę się tym przejąć.

Na szczęście tej nocy nie było już więcej żadnych napaści.

O świcie do chaty Bentleya przyszedł Huascl. Wyglądał bardzo uroczyście, choć widać było, że jest mocno zaniepokojony.

- Z twojej chaty przez całą noc dochodziły dziwne dźwięki - powiedział - jakby odgłosy mąk piekielnych, jakbyś walczył z diabłem.

- Zawsze tak niespokojnie sypiam - wyjaśnił Bentley.

Huascl uśmiechnął się, by pokazać, że docenia ten żart.

- Przyjacielu, czy modliłeś się wczorajszej nocy o

oczyszczenie i uwolnienie od Złego?

- Oczywiście.

- A czy twe modły zostały wysłuchane?

- Tak - powiedział Bentley z nadzieją. - Zły jest daleko

ode mnie. Bardzo daleko.

Huascl nie był o tym przekonany.

- Czy jesteś tego pewien? Może lepiej byłoby, gdybyś

oddalił się stąd w pokoju? Jeśli nie możesz zostać wtajemniczony, będziesz musiał zginąć.

- Nie martw się o to - powiedział mu Bentley. - Zaczynajmy.

- Świetnie - odparł Huascl i razem opuścili chatę.

Inicjacja miała się odbyć przed wielkim ogniskiem na

wiejskim placu. W nocy wysłani zostali posłańcy i na dzisiejszą uroczystość stawili się szamani z innych wsi. Niektórzy mieli do pokonania dwadzieścia mil, ale przybyli, by wziąć udział w obrzędach i na własne oczy zobaczyć obcego. Z tajnego schowka wyciągnięto ceremonialny bęben, który teraz grzmiał uroczyście. Wieśniacy rozmawiali, śmiali się. Ale Bentley wyczuwał pewną nerwowość i napięcie.

Najpierw odbyła się cała seria tańców. Bentley zadrżał zaniepokojony, gdy prowadzący taniec zaczął wymachiwać nad głową maczugą nabitą kawałkami szkła. W swym tanecznym transie zbliżał się niebezpiecznie do Bentleya i dzieliło ich już tylko kilka stóp. Maczuga świetlistą smugą rysowała się nad tancerzem.

Wieśniacy patrzyli zafascynowani. Bentley zamknął oczy przygotowując się psychicznie na moment, gdy wokół niego włączy się pole ochronne.

Ale tancerz oddalił się, a jego taniec zakończyły okrzyki ogólnego zadowolenia ze strony wieśniaków.

Huascl zaczął przemawiać. Bentley nie bez ulgi pomyślał, że zbliża się do punktu kulminacyjnego uroczystości.

- O, bracia - Huascl zwrócił się do zebranych. - Ten oto obcy przebył wielką próżnię, by stać się naszym bratem. Wiele jego zwyczajów jest dziwnych, a on sam otoczony jest dziwnym cieniem Złego. Ale czy ktoś może wątpić w jego dobre intencje? Czy ktoś może wątpić, że z natury jest on dobry i uczciwy? Ta ceremonia ma na celu wypędzenie z niego resztek Złego i uczynienie go jednym z nas.

Nastąpiła głucha cisza, w czasie której Huascl podszedł do Bentleya.

- Teraz - rzekł - i ty jesteś szamanem. Jesteś jednym z nas. Wyciągnął do Bentleya rękę.

Bentley poczuł, jak serce zabiło mu mocniej z radości. Zwyciężył! Został zaakceptowany. Wyciągnął rękę i dotknął ręki Huascla.

A właściwie usiłował to zrobić, bo Protec, wiecznie czujny, ustrzegł go przed możliwością tak niebezpiecznego kontaktu.

- Co za głupie urządzenie - zawył Bentley.

Szybko udało mu się znaleźć kontrolkę i wyłączyć pole.

Od razu zauważył, że sprawa była przegrana.

- Szatan! - wrzeszczeli Telianie wymachując wściekle

bronią.

- Zły! - krzyczeli kapłani.

Bentley z nadzieją zwrócił się do Huascla.

- Cóż - odpowiedział ten ze smutkiem - to prawda.

Myśleliśmy, że wypędzimy Złego za pomocą starych rytuałów. Ale nie udało się. Musi więc zostać zniszczony. Trzeba zabić diabła.

W kierunku Bentleya poleciała lawina włóczni. Oczywiście Protec natychmiast odpowiedział na atak.

Wkrótce stało się jasne, że powstał impas. Bentley pozostawał kilka minut w polu, potem wyłączał je. Telianie, widząc go nadal całym i zdrowym, ponawiali swe ataki, na które Protec odpowiadał natychmiastowym włączaniem pola.

Bentley usiłował ruszyć w kierunku statku, ale Protec nie pozwalał mu na to, włączając się ponownie prawie zaraz po wyłączeniu. W tym tempie przebycie jednej mili dzielącej go od statku wymagałoby co najmniej miesiąca, a więc zaprzestał prób. Postanowił przeczekać ataki. Gdy tubylcy zdadzą sobie sprawę, że nie są w stanie nic mu zrobić, dwie rasy będą musiały zasiąść do negocjacji.

Usiłował odprężyć się, ale w centrum pola było to praktycznie niemożliwe. Był głodny i potwornie chciało mu się pić. Nie miał czym oddychać.

Przypomniawszy sobie wtedy, nie bez przerażenia, że poprzedniej nocy powietrze nie przenikało otaczającego go pola. To przecież oczywiste - nic nie jest w stanie przez nie się przedostać. Groziło mu więc uduszenie.

Wiedział, że nawet niezdojta forteca może paść, gdy obrońcy zginą z głodu lub braku powietrza.

Zaczął intensywnie myśleć. Jak długo Telianie mogą prowadzić swój atak? Przecież wcześniej czy później ich to zmęczy. A może nie?

Czekał do chwili, gdy nie mógł już oddychać.

Gdy wyłączył pole, zobaczył, że Telianie siedzą wokół

niego. Rozpalono ogniska, gotowano strawę. Rinek leniwie rzucił włócznią w jego stronę i pole natychmiast włączyło się ponownie.



A więc to tak, pomyślał Bentley, oni już to wiedzą. Chcą go zagłodzić na śmierć.

Usiłował myśleć, ale ściany jego ciemnej nory zaczęły go przytłaczać. Dała o sobie znać klaustrofobia.

Przez chwilę rozmyślał, potem sięgnął po wyłącznik. Telianie patrzyli na niego z pogardą. Jeden z nich sięgnął po włącznię.

- Zaczekaj - krzyknął Bentley. Jednocześnie włączył radio.

- O co chodzi? - zapytał Rinek.

- Wysłuchaj mnie. To nieuczciwe, bym siedział w Protecu

jak w pułapce.

- Co się dzieje? - zapytał profesor Sliggert.

- Wy, Telianie, wiecie - mówił Bentley ochryple - wiecie,

że możecie mnie zniszczyć włączając ciągle Proteca. A ja nie mogę go wyłączyć! Nie mogę wydostać się z niego.

- Ha - powiedział profesor Sliggert - dostrzegam problem.

- Bardzo nam przykro - przeprosił Huascl - ale Złego

należy zniszczyć.

- Oczywiście, że tak - odparował Bentley z rezygnacją - ale nie mnie. Niech mi pan da jakąś szansę, profesorze!!!

- To rzeczywiście niedociągnięcie. I to poważne - zamyślił się profesor. - Tego typu trudności nie występują podczas badań laboratoryjnych. Wykazuje je dopiero test terenowy. Protec wymaga udoskonalenia.

- Cudownie. Tylko, że teraz jestem tu. Jak się mam z tego wydostać?

- Przykro mi - odparł Sliggert - szczerze mówiąc, nigdy nie sądziłem, że zaistnieje taka konieczność. Tak zaprojektowałem szelki, byś nie mógł uwolnić się z nich niezależnie od okoliczności.

- Ty wszawy...

- Proszę cię - odrzekł Sliggert surowo - nie trać głowy.

- Gdybyś mógł wytrzymać jeszcze... kilka miesięcy, może udałoby się nam...

- Nie mogę! Powietrza! Wody!

- Ognia! - krzyknął Rinek z wykrzywioną twarzą. - Ogniem

wygnamy demona.

I Protec znów się włączył.

Bentley usiłował wymyślić coś w ciemnościach. Musi za

wszelką cenę pozbyć się Proteca. Ale jak? Wśród narzędzi był nóż. Czy nada się do przecięcia plastikowych szelek?

Ale co potem? Nawet jeśli uwolni się, to statek jest o milę stąd. Bez Proteca mogą go zabić jednym pchnięciem włóczni. I zrobią to z pewnością, uznali go przecież nieodwołalnie za demona.

Ale jeśli zacznie biec, to przynajmniej ma jakąś szansę. Poza tym lepiej umrzeć od uderzenia włócznią niż zadusić się powoli w całkowitej ciemności.

Bentley wyłączył pole. Telianie rozpalili wokół niego ogniska, zamykając mu drogę ucieczki ścianą ognia.

Z wściekłością zaczął manipulować nożem. Nóż wbił się jedynie w szelkę, ponownie włączając Proteca.

Kiedy znowu odzyskał przytomność, był całkowicie okrążony przez ogniska. Telianie ostrożnie podsuwali ogień w jego kierunku, zmniejszając obwód koła.

Bentley poczuł, jak mu serce zamiera. Gdy tylko ogień znajdzie się na tyle blisko, by włączyć Protec, nie uda się już go wyłączyć. Nie będzie już w stanie zapanować nad stałym sygnałem zagrożenia. Znajdzie się w pułapce swego pola mocy na tak długo, jak długo podsycać będą ogień.

A biorąc pod uwagę zabobonność istot prymitywnych i lęk przed Złym, istnieje możliwość, że mogą one podsycać ogień bez końca.

Rzucił nóż, wziął obcinak i udało mu się przeciąć plastikowy pas do połowy.

Ale ponownie znalazł się w polu Proteca.

Bentley był na pół żywy, prawie omdlewał ze zmęczenia,

walczył o każdy łyk powietrza. Z wielkim trudem wziął się w garść. Nie może teraz zemdleć. To byłby jego koniec.

Znalazł kontrolkę wyłączającą pole. Ogień był już bardzo blisko. Czuł na swej twarzy jego ciepło. Z furią ciął dalej pas i poczuł, że ten ustępuje.

Wyskoczył z Proteca, zanim pole włączyło się ponownie. Jego siła rzuciła go w ogień. Ale upadł na stopy i udało mu się wyskoczyć z płomieni bez żadnych obrażeń.

Wieśniacy zawyli. Bentley wyrwał się do przodu. Biegając porzucał kolejno narzędzia, radio, skoncentrowaną żywność i kontener z wodą. Raz tylko odwrócił się. Zobaczył, że Telianie biegną za nim.

Ale żył. Jego zmęczone serce wydawało się rozsadzać mu klatkę piersiową, a płuca w każdej chwili groziły rozedmą. Ale teraz jego statek był tuż przed nim, wielki i przyjacielski majaczył w ciemności na równinie.

Musi mu się udać. Jeszcze tylko kilkanaście metrów.

Coś zielonego przemknęło przed nim. Był to mały mog.

Niezdarne zwierzątko usiłowało zejść mu z drogi.

Bentley zboczył, by nie zabić zwierzątka i zbyt późno uświadomił sobie, że nie powinien był zmieniać tempa. Pod stopą poczuł kamień i runął jak długi.

Słyszał tupot nóg Telian dobiegających do niego. Udało mu się podnieść na jedno kolano.

Ktoś rzucił maczugę, która wylądowała na jego czole.

- Ar gwy dril? - zapytał niezrozumiale głos z daleka.

Bentley otworzył oczy i zobaczył pochylonego nad sobą Huascla. Był z powrotem we wsi, w chacie. Kilku uzbrojonych Telian stało w drzwiach obserwując go.

- Ar dril? - zapytał ponownie Huascl.

Bentley obrócił się i zobaczył leżące obok niego w jak

największym porządku narzędzia, żywność, kontener z wodą, radio i automatycznego tłumacza. Pociągnął duży łyk wody, a następnie włączył tłumacza.

- Zapytałem, czy dobrze się czujesz? - powiedział Huascl.

- Jasne, że tak - wymamrotał Bentley, choć głowę

rozsadzał mu ból - skończmy już z tym.

- Z czym?

- Chcecie mnie zabić, nieprawdaż? No to nie róbmy z tego

przedstawienia.

- Ależ my nie chcieliśmy zniszczyć ciebie - powiedział Huascl. - Wiedzieliśmy, że jesteś z gruntu dobry. To diabła chcieliśmy zabić.

- Co? - zapytał Bentley nic nie rozumiejąc.

- Chodź, zobaczysz.

Kapłani pomogli Bentleyowi wstać i wyprowadzili go na

zewnątrz. Na placu, opasany skaczącymi płomieniami ognia, lśnił wielki, czarny Protec.

- Nie wiedziałeś o tym - powiedział Huascl - że diabeł siedział ci na plecach.

- Co! - wyszeptał ponownie Bentley.

- To prawda. Chcieliśmy go wypędzić przez oczyszczenie,

ale był zbyt silny. Musieliśmy, bracie, zmusić cię, byś stawił mu czoła i odrzucił go. Wiedzieliśmy, że przejdziesz tę próbę. I przeszedłeś.

- Rozumiem - powiedział Bentley. - Diabeł na plecach...

Cóż, zdaje się, że macie rację.

Właśnie tym mógł być dla nich Protec, ten wielki, niekształtny ciężar na jego plecach, wyrzucający czarną kulę za każdym razem, gdy chcieli go oczyścić.

Czego można oczekiwać od religijnych ludzi, jak nie prób uwolnienia go z uścisku szatana.

Zobaczył kilka kobiet, które wrzucały w ogień ogarniający Proteca kosze jedzenia. Pytająco spojrział na Huascla.

- Chcemy go zjednać - powiedział - bo to bardzo silny diabeł. Nasza wioska jest dumna, że ma w swej niewoli tak potężnego szatana.

Kapłan z sąsiedniej wioski powstał i zapytał:

- Czy jest więcej takich diabłów tam, skąd przybywasz?

Czy mógłbyś i nam przywieźć jednego, byśmy mogli go czcić?

Kilku innych kapłanów też zaczęło naciskać. Bentley przytaknął.

- To się da załatwić - powiedział.

Wiedział już, że jest to początek wymiany między Ziemią a

planetą Tels. No i że nareszcie znaleziono jakieś właściwe zastosowanie dla dzieła profesora

Sliggerta.

Przełożyła Jolanta Tippe

# ***ROBERT SHECKLEY***

Ten znakomity, lubiany przez czytelników autor, jeden z nielicznych, któremu udaje się połączyć dobrą SF z humorem, wraca na nasze łamy po dość długiej przerwie.

Nowojorczyk, pochodzący z rodziny polskich Żydów, rozpoczął karierę zawodową od malowania obrazów (ukończył wydział sztuk pięknych na Uniwersytecie Nowojorskim). Brał udział w wojnie koreańskiej, potem wiele podróżował po Europie. Sześć lat spędził na hiszpańskiej wyspie Ibiza. Po powrocie do Stanów przez pewien czas był redaktorem w popularnonaukowym miesięczniku „OMNI”, ale wkrótce całkowicie poświęcił się pisarstwu. Był czterokrotnie żonaty i ma czwórkę dzieci.

D.M.